

Mazurskie Stowarzyszenie Aktywności Lokalnej w Orzyszu

Orzyskie ZESZYTY HISTORYCZNE



nr 1

rok 2017

Orzyskie

ZESZYTY HISTORYCZNE

Spis treści

KRAINA, W KTÓREJ MOŻNA POCZUĆ CISZĘ.....	3
Arno Surminski	
ZDOBYCIE OKARTOWA.....	5
Karl August Maczkowski	
RELACJA Z PRZEŻYĆ, Z UCIECZKI I WYGNANIA.....	8
Klaus Lindenau	
PIEŚŃ PRUS WSCHODNICH.....	11
anonym	
STAROPRUSKI POGAŃSKI GRÓD.....	12
Karl August Maczkowski	
BOLSZEWICY W ORZYSZU.....	16
August Salecker	
SZCZĘCIARA POŚRÓD CHAOSU.....	21
Waltraut Wels	
PAN JELEŃ.....	27
Herbert Ziemer	

BĄDZ AKTYWNY dla siebie i dla Orzysza



MAZURSKIE STOWARZYSZENIE
AKTYWNOŚCI LOKALNEJ W ORZYSZU

Wszelkie prace, które doprowadziły do wydania tej publikacji wykonane zostały wolontarystycznie (non profit). W zamyśle osób pracujących nad publikacją, ma ona pomóc mieszkańcom Mazur Orzyskich w pogłębianiu wiedzy o swojej Małej Ojczyźnie oraz wspierać ich aktywność społeczną w myśl MSAL'owskiej zasady "Bądź aktywny dla siebie i dla Orzysza".

MSAL dziękuje osobom, które wspomagają pozyskiwanie materiałów źródłowych wykorzystywanych do tworzenia Zeszytów, a szczególnie panu Dietrichowi Peylo i pani Katarzynie Galczak-Ślęzak.

Wydawca: Mazurskie Stowarzyszenie Aktywności Lokalnej w Orzyszu, ul. Zielona 15, 12-250 Orzysz, tel. 796 140 648

Przekład materiałów niemieckojęzycznych: Kamil Leśniewski

Korekta: Anna Długozima

Redakcja i skład: Krzysztof Marusiński

Druk: ze środków zgromadzonych przez MSAL z 1% podatków przekazywanych z PIT

© Mazurskie Stowarzyszenie Aktywności Lokalnej Orzysz 2017

ISBN 798-83-932274-7-1

egzemplarz bezpłatny

Kraina, w której można poczuć ciszę

Gdy Pan jeszcze chodził po świecie, przybył późnym popołudniem - a był już zmęczony - na mazurską ziemię. Zanim zasnął, bez pośpiechu i wysiłku, stworzył tu wielki las, wielką mazurską puszcę. Od tego czasu cała kraina mazurska niemal nie podlegając przemianom, bez pośpiechu toczy swoje sprawy i nastraja tutejszych mieszkańców do cierpliwości, wyciszenia i spokoju.

Ta legenda, o Bogu, który przybył na Mazury, aby wypocząć po morderczym trudzie urządzania świata, doskonale opisuje charakter „serca” Mazur. Spokój i cisza. Wodospady byłyby zbyt głośne dla tutejszego krajobrazu, wysokie góry wadziłyby daleko na horyzoncie. Cisza należy do Mazur w sposób tak oczywisty, że szkoda czasu, aby to uzasadniać. Dozwolone są tu krzyki drapieżnych ptaków, rumor między drzewami tworzony przez wrony, „śpiew” łabędzi, podczas ich lotu nad jeziorem, okrzyki puszczyków i bzyczenie pszczoł wśród kwitnących lip. „Mazurska Puszcza” wciąż istnieje, jeszcze jako trudny do przebrnięcia obszar pokryty lasami i jeziorami, w którym lisy i wilki życzą sobie dobrej nocy, a w którym zupełnie nie tak dawno gnieździły się niedźwiedzie uwiecznione w wielu herbach miast i na nalepce butelki Niedźwiedziówki „Bärenfang“.

Mazury zdobyły swoją legendarną sławę już we wczesnych stuleciach. Odwiedzający je mieszkańcy „Rzeszy” przybywali do tej „Ostatniej stacji przed Syberią”, aby poczuć smak zacołania, doświadczyć życia bez światła elektrycznego, biegających boso dzieci, zobaczyć kosiarza z kosą na plecach, konie ciągnące pług i te przy wodopoju.

Mazury stały się ostoją bezpieczeństwa, „prostego życia” i krajobrazu „wiecznego powrotu do domu”. Przybywali tu przede wszystkim emigranci ciągnący do Ameryki lub Zagłębia Ruhry oraz uciekinierzy i wysiedleńcy drugiej wojny światowej, jeżeli pozwalały im na to stosunki polityczne. (...)

Historia wielokrotnie „przeorała” ten obszar. Wojny XX-ego stulecia

były dla tej cichej krainy prawdziwym upokorzeniem. Mazury zniosły cierpliwie te historyczne bezczelności. Jak sitowie rosnące na brzegu jeziora chyliły się przed atakami i ponownie prostowały, gdy zamęt ustawał. (...)

W latach 1914 - 1915 krainę tę dotknęły bitwy: pod Stębarkiem (Tannenberg) oraz "bitwa zimowa na Mazurach" (Bitwa nad jeziorami mazurskimi), o czym do dziś przypominają cmentarze wojskowe. Druga wojna światowa oszczędziła Mazurom większych bitew jednak w czerwcu 1941 roku lasy mazurskie użyczały swych dróg na przemarsze żołnierzy zmierzających do Rosji.



Orzyski mostek westchnień - miejsce spotkań żołnierzy z dziewczynami.

rys. Karolina Zychowicz

W 1945 roku powracający front spustoszył ogniem mazurskie miasta i wsie. Zamki i dworki, w których posiadaniu byli dawniej szlachta i właściciele ziemscy, uległy powolnie postępującemu upadkowi. Wiele z nich jest już tylko ruinami, po niektórych pozostały jeszcze szare fasady, będące pomnikami minionego świata. Nie ma już dla nich żadnego sensownego zastosowania. Od dziesiątków lat niezamieszkałe, niegdyś wytworne budowle znikają w zaroślach zdziczałych parków. Zabite gwoździami okna, wpadające przez dziurawy dach deszcze i śniegi, rosnące w rynnach brzozy

to widok skłaniający do płaczu. Niektóre zamki i dworki zostały przebudowane na hotele, muzea lub inne miejsca spotkań, ale tylko niewielka część z nich została w ten sposób uchroniona od zniszczenia.

„W latach swej młodości, udał się szewc Kristan, pochodzący z mazurskich Kaliszek (Kalischken), na wędrowną w celu odnalezienia raję. Dotarł on aż do Ziemi Świętej i spotkał tam archanioła Gabriela, który spytał go, skąd i dokąd zmierza. Gdy usłyszał, że Kristan szuka raję, rozkazał mu natychmiast powrócić na Mazury, jedyne raję na ziemi, ponieważ inny raj nie istnieje.”

Zgodnie z tą legendą, Mazurzy wierzą w to, że mieszkają w raję, do którego przybywa Bóg za każdym razem gdy chce wypocząć. Współczują oni każdemu, kto musi opuścić tę krainę i życzą mu rychłego powrotu. Pódróż na Mazury zawsze oznacza powrót do dobrego miejsca, jak do domu.

Karl August Maczkowski, Eckersberg i jego otoczenie, Stowarzyszenie Badań nad Rodziną ze Wschodu i Prus Zachodnich, Nr 56, 1985 r. (1899 r.)

Zdobycie Okartowa, bitwa nad rzeką Wąż i drugie pojmanie Kiejstuta

Kiejstut z drużyną wkroczył do Prus i wraz ze swoimi poganami szturmować zaczął gród Pisz (Johannisburg), który zdobył i spalił do gołej ziemi. Litwinom doniesiono, że administrator Johann Kollyn schronił się wraz ze swoim konfratrem w wieży, w ukrytym, ufortyfikowanym schronieniu jednak w końcu zostali pojmani. Późniejszy kronikarze i dziejopisarze twierdzili, iż Kiejstut od razu wziął szturmem ukryte komnaty i wziął obu w niewolę. Okolice Pizsa zostały spustoszone, a miejscowi chrześcijanie zostali obrabowani i podle ich traktowano.

Następnie zaatakował Kiejstut gród Okartowo, który też sobie przywłaszczył. Rządca Hademar uciekł wraz ze swoim oddziałem bojowym ze strachu przed imponującą potęgą księcia i udał się do ufortyfikowanego,

ukrytego schronienia; tam bronił się on mężnie wraz z innymi; przebili pogan i ugodzili wielu z nich swoim orężem, tak że udało się im uniknąć niewoli.

Kiejstut chciał po tym prowadzić dalej swój wojenny pochód przez Prusy. Plotka o tym dotarła jednak do zarządcy Kętrzyna (Rastenburg), który wędrował wtedy wraz z dowódcą załogi z Barcian (Barten) przez puszcze i tu i ówdzie zastawiał zasadzki. Pewnego razu znaleźli się w pobliżu Litwinów, jednak nie byli oni tego świadomi. Obaj przeprawiali się przez potok, aby dojechać do miejsca, gdzie mieli spożyć posiłek. W tej właśnie chwili usłyszeli hałas. Krzyżacy zawrócili swoje konie, przejechali potok i z Bożą pomocą dotarli na miejsce, gdzie rozpętała się już walka między zakonnymi wojownikami a Litwinami. Litwini otrzymali serię ciosów i w końcu rzucili się do ucieczki, ścigani przez chrześcijan.

W trakcie tej bitwy dowódca Kętrzyna, Wernher von Windenkeyn, zrzucił księcia Kiejstuta z konia; ten jednak podniósł się, chwycił tarczę i lancę, a następnie przeszył nią konia Krzyżaka. Podczas tej potyczki brat zakonny Doyban chciał zaatakować księcia Litwy, jednak jego koń zrzucił go na ziemię. Nikolaus Wyndekaym stał przy drzewie; kiedy zauważył walkę z księciem litewskim, zaszurmował, pomimo rannej ręki, do Kiejstuta, aby go zaatakować. Chroniony przez zbroję książę zawołał do niego: „Nie godź we mnie!” Wtedy też odpowiedział mu Nikolaus: „Dlaczego miałbym nie mścić się na poganinie?” i ponownie spróbował go ugodzić. Książę zawołał: „Zaniechaj tego! Jestem Kiejstut! Dołącz do mnie a cię wynagrodzę!”. Brat zakonny nie przyjął jednak propozycji i odrzekł: „Moi władcy w jednej chwili dadzą mi więcej niżli Ty przez całe wieki.” Wtedy poprosił go książę, aby podarował mu on konia, co też uczynił.

Kiejstut wsiadł na konia i umknął. Po drodze napotkał on młodzieńca na koniu, prowadzącego obok siebie drugiego wierzchowca. Książę wjechał szybko między oba zwierzęta i rozkazał młodzieńcowi jechać szybciej. Ten jednak go nie posłuchał i powiedział: „Będę trzymać się z daleka.” Nikolaus Wyndekaym i Johann von Eckersberg ścigali księcia, dogonili go i pojmanego poprowadzili do obozu, gdzie trzymali go pod strażą. Ludzie stopniowo tam przybywali.

Dowódca wojska z Barcian zmarł następnego dnia wskutek odniesionych ran. W bitwie zginął brat zakonny i dziewięciu konnych, wielu zo-

stało rannych; ale zabito również stu Litwinów i wielu z nich zraniono, a ich 200 pozostawionych koni chrześcijanie poprowadzili ze sobą jako trofeum. O uwięzionym Kiejstucie całkiem zapomniano: udało mu się uciec.

Pozostało jeszcze zbadać, w jakiej okolicy odbyła się bitwa, podczas której nastąpiło owe drugie wzięcie do niewoli Kiejstuta. Nie da się tego ustalić z całkowitą pewnością. Rozważamy jednak, że Kiejstut przyszedł z południa, z Pizsa, przez Grzegorz (Gregersdorf), przeszedł na drugą stronę jeziora Tyrkło (Terklo - See), mijając obecne miejscowości Góra (Gurra), Cierpięty (Cierspienten), Wężewo (Wensöwen). Nie mógł przejść na drugą stronę jeziora przez Okartowo, ponieważ przejście to pilnowane było przez rycerzy zakonu, a jezioro nie było wystarczająco zamrznięte.

Oblężył i zniszczył gród Okartowo i chciał następnie ciągnąć dalej w kierunku Prus, więc nie można się pomylić, zakładając, że Kiejstut z zachodniego brzegu jeziora Tyrkło, gdzie się znajdował, chciał wyruszyć albo na północ, w kierunku Giżycko - Węgorzewo (Lötzen-Angerburg), albo na północny - zachód, wzdłuż starego gościńca, na północ od rzeki Wąż, w kierunku Wężewo - Zastrużne - Dąbrówka - Szymonka - Ryn - Kętrzyn (Wensöwen - Sastrosnen - Dombrowken - Schimonken - Rhein - Rastenburg).



Kiejstut - Wielki Książę Litewski
rys. Karolina Zychowicz

Ostatni scenariusz wydaje się najbardziej prawdopodobny, gdyż to nie dowodzący z Giżycka i Węgorzewa wyszli mu naprzeciw, lecz dowódcy z zagrożonych grodów Kętrzyn i Barciany. Kronikarz Wigand mówi o jeszcze jednym strumieniu, przez który przejeżdżali obaj opiekunowie,

aby rozbić tam obóz i spożyć posiłek. Bardzo możliwe, że to rzeka Wąż była tą, która płynie w pobliżu Okartowa, jeziora Wąż (Wonsz - See), Drozdowa (Drosdowen), Zastrużnego (Sastrosznen) i Wężewa, a następnie wpływa do jeziora Śniardwy (Spirding - See). Bitwa miałaby więc rzekomo zostać stoczona na południowy wschód od Zastrużnego i na północ od Wężewa, między rzeką Wąż a jeziorem Śniardwy, ponieważ ta okolica również leży na północny zachód od Okartowa, w którego kierunku podążał Kiejstut dążąc do Prus. W tych okolicach, na gościńcu prowadzącym z Wężewa do Cierzpięt, na północ od Wężewa, istnieje nadal miejsce, które okoliczni mieszkańcy nazywają „czerwonym półkiem”, ponieważ tam - jak głosi legenda - w dawnych czasach odbyła się bitwa z litewskim księciem Kiejstutem, a pole zabarwiło się na czerwono od krwi wielu poległych. Tak słyszy się tam do dziś.

Klaus Lindenau, Die Seufzerbrücke Nr 20/2006

Relacja z przeżyć, z ucieczki i wygnania z miejscowości Orzysz i Kamińskie

W roku 1935 moi rodzice wzięli ślub. Aż do swojej ucieczki mieszkali w Orzyszu/Wierzbinach (Arys/Wiersbinnen). Mój ojciec, Emil Lindenau, urodzony 24.08.1911 r. w miejscowości Swaderki (Schwedrich), w powiecie Olsztynek (Hohenstein) był zatrudniony m.in. w Komendanturze w Orzyszu. Moja matka, Gertrud Lindenau, z domu Rohmann, urodzona 13.05.1912 r. w miejscowości Kamińskie, w powiecie piskim.

Rodzice mojej matki prowadzili gospodarstwo rolne o powierzchni 19,5 hektara. Było to pierwsze gospodarstwo, tuż przy wjeździe do miejscowości Kamińskie, od strony Strzelnik (Schützenau); z prawej strony przebiegała droga do Rostek (Rostken). Brat mojej matki, Emil Rohmann, prowadził nieopodal gospodarstwa zakład kołodziejski. Jako pierworodny syn moich rodziców urodziłem się 16.03.1937 r. w Ameryce/Orzyszu

(Amerika/Arys). 17.02.1939 r. przyszedł na świat mój brat.

W 1939 roku mój ojciec został zaciągnięty do wojska. Znalazł się na froncie w Polsce, Rosji i Norwegii; pracował m.in. jako tłumacz języka polskiego i rosyjskiego. W kwietniu 1945 r. słuch po moim ojcu zaginął. W roku 1943 udało mi się dostać do nowej szkoły w Orzyszu.

Późnym latem 1944 roku wiele kobiet i ich dzieci zostało ewakuowanych z rzekomych obszarów granicznych w kierunku zachodnim. Pociągiem udaliśmy się do Morąga (Mohrungen) i do końca października 1944 r. przebywaliśmy w Bogaczewie (Güldenboden) w powiecie Pasłęk (Preußisch Holland). W końcu, na początku listopada 1944 roku mój ojciec ewakuował nas, w nocy, we mgle, do Wildflecken/Rhön, Bawaria. Był on wtedy przekonany, że wschodnie tereny Rzeszy Niemieckiej są stracone. Podczas gdy rosyjskie wojska maszerowały coraz dalej na zachód, mieszkańcy Kamińskich zdecydowali się 24.01.1945 roku, wraz z końmi i wozami, opuścić miejscowość.

Kolumna uchodźców prowadzona była przez rodziców mojej matki i jej brata, a następnie przez rodzinę Dziobaka. Kolumna z Kamińskich najpierw przejechała przez zamrożone Jezioro Orzyskie (Arys - See), w pobliżu Wyspy Róż, mijając Amerykę po lewej i Budę (Budda) - znajdował się tam dworzec gościnny „Buda” (Kurhaus Budda) - żeby dotrzeć do ulicy Ełckiej (Lycker Straße) w Orzyszu.

Na skrzyżowaniu ulicy Ełckiej, naprzeciw piekarni Fischera stacjonowali żołnierze rosyjscy. Brat mojej matki prowadził konie i został tam od razu rozstrzelany. Rodzice mojej mamy musieli zejść z wozu. Najpierw rozstrzelano dziadka, później babkę. Babcia zmarła dopiero po piątym strzale. Rosyjscy żołnierze ruszyli do kolejnego wozu, należącego do rodziny Dziobaka. Ci sąsiedzi mogli uniknąć śmierci, gdyż podali się za Polaków. 2 października 1945 r. córka rodziny Dziobaka powiadomiła listownie moją matkę o nieudanej ucieczce oraz śmierci jej rodziców i brata. Oryginalny list wciąż istnieje, i mimo tego, że po ponad sześćdziesięciu latach nie jest już całkowicie czytelny, został on przepisany za pośrednictwem maszyny do pisania.

W późniejszych czasach doszło do osobistych kontaktów, które wniosły na światło dzienne wszystkie szczegóły. Rodzina Berty i Irmgarda Dziobaka odnalazła swoją nową ojczyznę w Lünen, w dzielnicy Gahmen na

ulicy Karlstrasse 14. Po przegranej wojnie nawiązanie jakiegokolwiek kontaktu z ojczyzną stało się niemożliwe. Nasze Mazury były nieosiągalne. Latem 1970 roku napisałem do katolickiego księdza z Orzysza list z następującą prośbą: tęsknię za ojczyzną i całym sercem chciałbym nawiązać kontakt z orzyską rodziną.

08.11.1970 r. otrzymałem list z odpowiedzią od Pani Ireny Wiśniewskiej, z domu Brodowskiej. Rozwinęła się z tego żywa korespondencja, trwająca aż do roku 1976. Miałem też możliwość korespondować z następującymi osobami:

1. Ryszard Werner, Orzysz, ul. Osiedle Robotnicze 23.
2. Pani Hagel, Orzysz, ul. Osiedle Robotnicze.
3. Else Kopańczyk, z domu Freitag, Orzysz, Grądy 7.

Na początku 1976 roku starałem się otrzymać od biura podróży Polorbis, z siedzibą w Kolonii (Köln) wizę w celu odwiedzin. W okresie 7-15.06.1976 r. została ona przyznana mi, mojej żonie oraz moim orzyskim krewnym, Fritz'owi i Helenie Rohmann. Pojechalśmy pociągiem i po 24 godzinach przybyliśmy do Giżycka (Lötzen). Pan Kopańczyk odebrał nas z dworca i zawiózł do samego Orzysza. Zamieszkaliśmy u rodziny Kopańczyk. Kolejne dni wykorzystaliśmy na zwiedzanie Orzysza i jego okolic oraz odwiedzenie Ameryki (zamkniętej strefy wojskowej) i Kamięskich (Erlichshausen). Podczas tego zwiedzania i rozmów dowiedziałem się o istnieniu dwóch zbiorowych grobów.

Pan Werner i Pani Hagel zrelacjonowali co następuje:

Pod koniec roku 1945 okupanci rosyjscy oddali do dyspozycji samochód ciężarowy i zaangażowali młodocianych mieszkańców Orzysza do usunięcia martwych ludzi z ulic. Ciężarówka jechała przez miasto, zbierając wszystkie ciała leżące po prawej stronie, które następnie pogrzebano w zbiorowym grobie na cmentarzu w Budzie. Następnie pojazd jechał na przeciwległą stronę ulicy i zbierał kolejne zwłoki. Transport ten wyjeżdżał później z miasta w kierunku Giżycka, skręcał przed torami kolejowymi (kierunek Skomack Wielki - Ełk (Dippelsee - Lyck)) i zatrzymywał się około 400 metrów za skrzyżowaniem przy starym lesie jodłowym (po lewej stronie drogi). Tam wykopano później drugi zbiorowy grób.

12 czerwca 1976 r. Pani Hagel i Pan Werner zaprowadzili nas nad oba te groby. Towarzyszył nam Pan Kopańczyk, który mógł tylko potwier-

dzie wypowiedzi wyżej wymienionych. Stojąc nad grobami sporządziłem ich szkice. Na cmentarzu w Budzie były zarówno zajęte jak i puste miejsca opatrzone ponumerowanymi tablicami. W miejscu, w którym znajdował się zbiorowy grób, brakowało oznaczeń. Na drugim zbiorowym grobie znajdowały się stare dekoracje i sztuczne kwiaty. W około 30-letnią jodłę wbitych było wiele gwoździ. Pani Hagel wspomniała, że chciałaby częściej odwiedzać grób. Do pnia jodły wielokrotnie już przymocowywano drewnianą tabliczkę, jednak za każdym razem nieznanne osoby ją usuwały. Polacy sobie jej nie życzą.

W tym sprawozdaniu z przeżyć chciałem przedstawić te fakty, w celu uwidocznienia tego, że nie wszystko odchodzi w niepamięć. Chciałbym, aby moje sprawozdanie wywołało inicjatywę podjęcia dalszych kroków. Ja w każdym razie jestem gotowy do współdziałania! Może możliwym jest dojście do porozumienia z obecnymi osobami za to odpowiedzialnymi w mieście Orzysz, w kwestii pozwolenia na ustawienie jakiegoś krzyża lub tablicy pamiątkowej na opisanych przeze mnie grobach.

Wersja bardziej dosłowna od przekładów znanych.

Pieśń Prus Wschodnich

Kraino ciemnych lasów
i krystalicznych jezior,
nad Twoimi polami
jasne cuda.

Silni chłopci kroczą
za koniem i pługiem.
Ponad szerokością pól
wznosi się ptasi lot.

I morza szumią
chorał czasu.
Łosie stoją i wsłuchują się
w wieczność.

Dzień się rozpoczął
za zalewem i bagnem.
Światło wschodzi,
wznosi się na wschód.

Karl August Maczkowski, Eckersberg i jego otoczenie, Stowarzyszenie Badań nad Rodziną ze Wschodu i Prus Zachodnich, Nr 56, 1985 r. (1899 r.)

Staropruski pogański gród nad jeziorem Tyrkło

Na mapie Hennenbergera znajduje się pięć kaszteli, położonych nad brzegiem jeziora Śniardwy (Spirding - See), oznaczonych jako „dawniej był tam zamek”:

1. na północ od Okartowa,
2. przy Tuchlinie (Tuchlinnen),
3. na południowy zachód od Łuknajna (Luknainischen See),
4. między jeziorem Seksty (Sexter-See) a Kwikiem (Quicka), naprzeciwko wyspy na jeziorze Śniardwy,
5. między Kwikiem a Nowymi Gutami (Gutten).

Poniżej chcemy opisać tylko wspomniany już, wymieniony jako pierwszy, gród pogański, ponieważ pozostałe, z racji ich oddalenia, nie będą nas tu interesować.

Jadąc starym gościńcem prowadzącym z Wężewa (Wensöwen) do Cierzpięt (Cierspienten), niedaleko od budynków Franza Wichmanna, na prawo od drogi, na okartowskich ziemiach parafialnych, na zachodnim brzegu jeziora Tyrkło, na podwyższonym występie, chroniony wałem i rowami znajduje się sztucznie usypany pagórek, stary pogański gród.

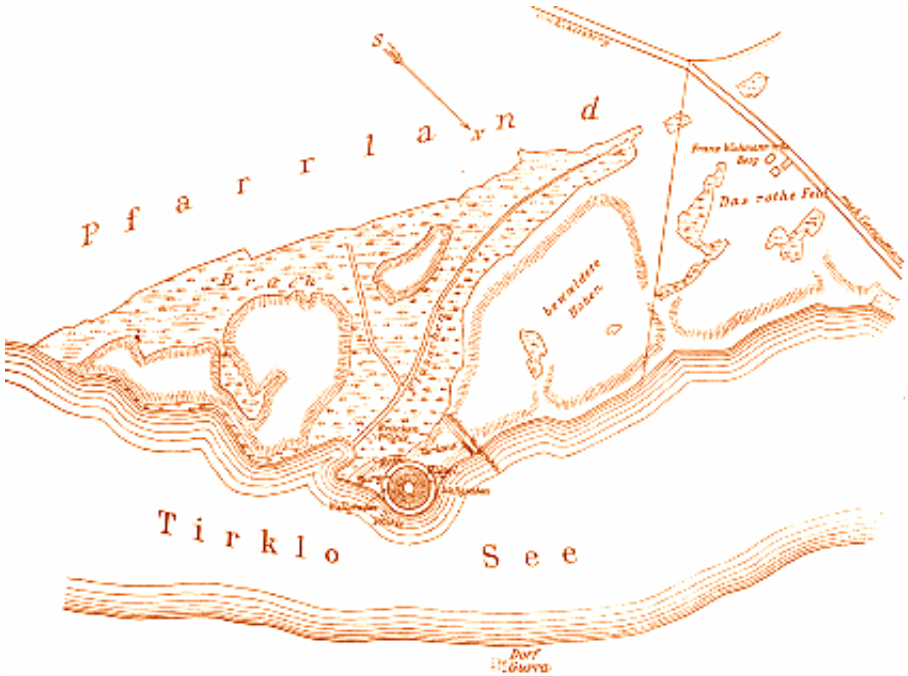
Gród ten nazywano różnie: Schloßberg, Schanzenberg, Grodzisko, Gród Tyrkło (Tirklo - Burg), Pogański Gród (Heidenberg), po polsku:

Zameczek. Był on otoczony od wschodu skrajem jeziora, tak, że można było z niego zejść na sam brzeg, ponieważ poziom wody w jeziorze z biegiem czasu obniżył się. Od południowej strony, od strony Okartowa, obiekt odgrodzony był bagnem, przez które przechodziła - obecnie całkiem zarośnięta - rzeczka uchodząca do jeziora Tyrkło. Kiedy gród był jeszcze zamieszkały, była to szersza rzeka lub zatoka jeziora, która chroniła go od tej strony przed wrogimi niespodziankami.

Wciąż można jeszcze spostrzec na bagnach dębowe pale, będące pozostałościami po moście, prowadzącym nad rzeczka, będącym połączeniem między grodem, a położonymi po drugiej stronie rzeki polami uprawnymi, tworzącymi wystającą z bagien wyspę. Po tej stronie, począwszy od jeziora Tyrkło, górzysty pagórek otaczał dookoła wał ziemny, łączący się następnie ponownie z jeziorem. Zbocze wału od strony rzeczki było średnio strome, a od strony północnej, od strony jeziora Tyrkło, strome. Od zachodu jednak było ono tylko umiarkowanie strome, a dalej wznosiło się w kierunku dużych zalesionych pagórków. Wał, na którego krawędzi z pewnością stała drewniana obronna palisada, był oddzielony od właściwego pagórka przez szeroki rów sięgający przy krawędzi wału do 7 m głębokości. Pierwotnie rów musiał być równy z ówczesnym brzegiem jeziora, a więc był znacznie głębszy. Wybrana ziemia została użyta do podsypiania pagórka, na którym stał gród.

Na zachód od tego rowu, w kierunku gościńca prowadzącego do Cierpięt, łączyło się z krawędzią wału prawie tak samo wysokie podgórze, w odległości ok. 50 m od rowu, ponownie przecięte przez obecnie całkiem przysypany rów; ten sam biegnie w prostej linii jeziora Tyrkło aż do łąk nad rzeką i musiał wcześniej być znacznie głębszy. Teraz jest on w niektórych miejscach głęboki, na co najwyżej 2 m, lecz jest o wiele bardziej płaski i ma długość 44 m. Także na krawędzi tego rowu znajdowały się prawdopodobnie palisady. Zresztą, można również założyć, że oba te rowy nie były wypełnione wodą, lecz były suche. Z tego pierwszego zagłębienia rowu wznosił się we wszystkich kierunkach równie stromo opadający, trudny do zdobycia pagórek grodu, stożek z odcięтым wierzchołkiem, o wysokości 14 m, mierząc od poziomu jeziora. Obwód tego pagórka - oddalonego o 4 m od brzegu jeziora - wynosił około 155 m, a obwód jego górnej powierzchni około 68 m (średnica 22 m).

Górna powierzchnia tego pagórka, który musiał być wcześniej znacznie wyższy, nie jest już równa, z powodu powstających wyrobisk. Na pagórku tym znajdowało się wcześniej studniopodobne zagłębienie, które służyło prawdopodobnie jako zbiornik na wodę, do którego i z którego wo-



da doprowadzana była za pośrednictwem widocznych rur, z jeziora Tyrkło. Obecnie zagłębienie to jest, na skutek wielu kompetentnie i niekompetentnie przeprowadzonych wyrobisk, przysypane i nieoznakowane. Na pagórku, na którym stał gród musiały z pewnością stać, za czasów pogańskich, budynki mieszkalne; prawdopodobnie były to budynki wykonane z gliny. Do teraz znajdowałem tam kawałki gliny, od których czuć było spalenizną.

To czy na owym pagórku znajdowały się też budowle z kamienia stoi pod znakiem zapytania. Na górnej płaszczyźnie pagórka i w samym jego środku znaleźć można, co prawda, wkopane duże kamienie (możliwe, że służyły one tylko do jego utwardzenia), a dalej, u podnóża pagórka i na brzegu jeziora leżą duże kamienie, które mogły być użyte jako materiał budowlany. W jednym z kamieni znaleźliśmy sztuczne wcięcie. W miejscu, gdzie naprzeciw wsi Góra (Gurra) pagórek na którym stał gród, nieotocz-

ny z tej strony rowem czy wałem, wcina się w jezioro Tyrkło, można było kiedyś zobaczyć 5 rzędów, po 5 sztuk w każdym, dębowych słupów wchodzących do jeziora Tyrkło. Teraz nie ma tam już nic do zobaczenia, ponieważ dno jeziora pokrywa gęsty muł. Tego, w jakich celach wbito tu owe słupy, nie da się stwierdzić, ponieważ nadal zbyt mało wiemy o wyposażeniu starych pruskich grodów. Do słupów tych prowadziła od wierzchołka pagórka droga. Do dziś zobaczyć można na górnej jego części „drogowę” zagłębienie pogłębiające się w kierunku jeziora.

O wcześniejszych dziejach tego grodu nic nie wiadomo. Powstał on na długo przed przybyciem niemieckiego zakonu rycerskiego do Prus – niedługo przed tym został zniszczony w wojnach sąsiedzkich – i możliwe, że został przejęty przez rycerzy podczas bitew z Sudowianami w latach 1270 - 1283. Część jego mieszkańców zginęła podczas bitew, pozostali trafili do niewoli lub zostali przesiedleni w inne okolice. Była to metoda stosowana przez zakon w stosunku do pokonanych. Ani kronikarze ani inne źródła pisemne nie podają informacji o tym pogańskim obiekcie. Zakon przeznaczył ten teren na budowę grodu, który od nazwy jeziora Tyrkło nazwano Tyrkło (Tirklo) lub Gród Tyrkło (Terklo-Burg). Po sekularyzacji Prus Książęcych ziemie te stały się własnością państwową, aż do momentu, gdy ich część w 1805 roku dołączono do Okartowa jako dzierżawę wieczystą, która później stała się jego własnością. W wyniku podziału w latach 1847 - 1848 gród został przekazany wraz z otaczającymi go polami i łąkami na własność kościoła w Okartowie i należy do niego do dziś.

Możliwe, że Töppen (od tłumacza: Max Pollux Toeppen – niemiecki historyk i pedagog) miał rację zakładając, że gród ten był miejscem zamieszkania starszyzny lub króla czy też władcy Sudowian (Sudauen).

Położony na cyplu nad wodą, naprzeciwko wzniesienia miejscowości Góra, otoczony pobliskim lasem gród musiał w dawnych czasach leżeć w pięknym otoczeniu natury, co też z pewnością nie uszło uwadze pruskiej szlachty. Do dziś z wierzchołka wzniesienia, na którym niegdyś stał gród, rozpościera się wspaniały widok na zalesione pagórki i szeroko rozpostarte jezioro. Gród ten był jednocześnie punktem strażniczym, z którego można było nadawać widoczne z daleka sygnały ogniowe oraz miejscem schronienia, w którym pogańscy mieszkańcy mogli znaleźć ochronę w czasach zagrożenia atakiem wroga. Gleba, na której znajdował się gród, składała się

głównie z piasku od czasu do czasu zmieszanego z małymi kamieniami, na wschód występowały już większe kamienie, szczególnie w pobliżu gościńca prowadzącego do Cierzpięt. Sam pagórek składał się z piasku pomieszanego z gliną.

Na terenach w pobliżu pagórka znaleziono pochodzące ze starych czasów młoty wojenne, strzały, żelazne ostrogi, strzemiona itd. Obecnie na jego wierzchołku rosną niskie, dziko rosnące krzaki. Teren wokół niego nie został zaorany z powodu piasku, lecz wypasano tu bydło. Liczne, pięknie kwitnące rośliny, które można zazwyczaj tu znaleźć, ozdabiają pagórek i sąsiadujące z nim tereny tak, że szczególnie w czerwcu, rozwija się tam wspaniałe kwieciste runo. Relacjonowali to już pisarze poprzedniego stulecia (od tłumacza: autor tekstu ma na myśli XVIII wiek i dzieła z lat 1712-1769). Szczególnie czarujący widok zapewniają, co roku w czasie Zielonych Świątek, kwitnące na biało anemony.

„Z kroniki wojennej rektora Salecker'a”. Kronika Orzyska, pod redakcją Fritz'a Brack'a, nauczyciela w szkole miejskiej w Orzyszu, Orzysz, czerwiec 1925.

Bolszewicy w Orzyszu

Latem, roku 1920 Polska toczyła wojnę z Rosją. Sytuacja polskiej armii pozostawiała zresztą wiele do życzenia i Czerwonej Armii ZSRR udało się wdrzeć w głąb państwa polskiego. W sierpniu walki zbliżyły się do granicy wschodniopruskiej. W końcu niektóre polskie kompanie zostały tak ostro zaatakowane przez Rosjan, nazywanych Bolszewikami, że musiały przekroczyć granicę wschodniopruską. Zostały one rozbrojone i internowane w obozie wojskowym w Orzyszu (Arys).

O tych polskich oddziałach miasto dowiedziało się niewiele. Jest tylko jedno wydarzenie godne zrelacjonowania. Pewnego dnia pojawił się w polskim obozie francuski kapitan. Agitował on Polaków i namawiał ich do wydostania się i ucieczki. Natrafił on jednak na właściwego człowieka, niemieckiego majora Krügera należącego do Sipo. Major Krüger wytknął

najpierw Francuzowi beczelny ton, zwracając mu przy tym uwagę na to, że jest majorem, a on tylko kapitanem, a na koniec zakomunikował, że nie życzy sobie używania języka francuskiego. Nagle Francuz spokorniał i wycofał się.

Szala zwycięstwa przechyliła się na stronę polskiego wojska, gdy kierownictwo nad polską armią przejęte zostało przez oficerów francuskich. W wyniku szybkiego posuwania się naprzód Rosjanie stracili kontakt z bazą operacyjną i zostali pokonani. Rosyjską dywizję zagnano na terytorium niemieckie. Na południe od Pizsa (Johannisburg) Bolszewicy przekroczyli granicę i zostali rozbrojeni. Proces rozbrajania początkowo przebiegał z dużymi trudnościami, ponieważ Rosjanie byli przekonani, że Niemcy skorzystają ze sposobności i wspólnie z Rosją odzyskają polski korytarz. 23 sierpnia 1920 r. do Orzysza przybyło pierwszych 10.000 internowanych Rosjan.

Od 24 sierpnia przybywało ich 1500 dziennie, tak że pod koniec sierpnia zliczona została ich następująca siła:

2 317 oficerów,
72 komisarzy,
438 lekarzy i felczerów,
218 personelu kobiecego,
41 598 podoficerów i szeregowych.

Łącznie 44 643 osoby. Dochodzili jeszcze dowódcy, dlatego można przyjąć, że liczba internowanych wynosiła blisko 45 000. Do tego jeszcze dobrze ponad 20 000 koni. Nie można było ich dokładnie policzyć, ponieważ biegały one luzem, rozproszone wokół strzelnicy.

23 sierpnia ja, kronikarz, jechałem furmanką do Pizsa, aby dostarczyć tam dokumenty dotyczące referendum. Naprzeciw nam jechało wyżej wymienione 10 000 Rosjan. Było to dla mnie wywołujące dreszcz grozy, niezwykle interesujące przeżycie. Oto przybywali pieszo, pojedynczo, parami, konno na grzbietach wspaniałych arabów, przeważnie jednak na wół zagłodzonych, zajeżdżonych kozackich koniach. Wozy ciągnięte przez muły z długimi głowami i ogromnymi uszami. Między całymi grupami piechota i pojedyncze armaty. Zamki armat zostały wcześniej, na granicy, zabrane. Potem, wzdłuż kolumny, galopowały wyższe szarże. Wszyscy nastroszeni, z dzikim spojrzeniem i czarnymi brodami.

W dywizji tej można było odnaleźć ludzi należących do prawie każdej azjatyckiej nacji. Straszne wrażenie sprawiali ci Rosjanie, którzy nosili dziwne, osobliwe płaszcze. Każdy z nich, bez wyjątku, to był kawał chłopca. Na ramionach mieli płaszcze z czarnego kozucha, który był zszyty tak, że sprawiał wrażenie prostokątnego. Z oddali wyglądało to jakby każdy jeździec miał na swoich plecach drzwi. Do tego dochodziła jeszcze wysoka perska czapka.

Wśród Rosjan można było znaleźć także wielu Niemców, zazwyczaj młodych. Dawali się oni rozpoznać po twarzach i włosach. Nawet ci, którzy uparcie podawali się za Rosjan, zdradzali się przez swój prawdziwie berliński lub westfalski dialekt. W hotelu Königlicher Hof „objął się” przy stołach obecnych tam niemieckich oficerów, jak informowano „z głodem w oczach, pewien bolszewicki podporucznik”. Pozbawiona zarostu twarz o ostrych rysach już z daleka zdradzała aktywnego, pruskiego oficera. Spod jego szarego, podartego, bolszewickiego płaszcza wyglądał niebieski, pruski uniform. Co mogło kierować tymi, którzy zaciągali się do służby u Bolszewików? Dla niektórych mogło to wynikać z żądzy przygód. Inni dostali się do rosyjskiej niewoli podczas I wojny światowej i wierzyli, że w ten sposób powrócą do Niemiec, do swojej ojczyzny. Jednak wśród tych, którzy wypierali się swojej niemieckości, przyjmowano, że byli to dawni, niemieccy dezertrzy.

Ponieważ ilość miejsca w obozie była dalece niewystarczająca, bolszewicy musieli obozować pod gołym niebem. Był to wyjątkowo piękny widok, gdy wieczorami spoglądało się ze wzniesienia na ten ich obóz. Aż po sam horyzont, prawdziwe wojenne życie, wozy, namioty, konie, ludzie i ogniska. Tak właśnie zawsze wyobrażałem sobie sceny „Obozu Wallensteina” (od tłum.: książka Friedricha Schillera w oryginalnym tytule „Wallensteins Lager“).

Rosjanie posiadali przy sobie wiele zdobyczy z Polski, które teraz zamieniali na pożywienie. Kusiło to ludność z całych Prus Wschodnich i już wkrótce w Orzyszu było tylu przyjezdnych, co Rosjan. Rosjanie wymieniali wszystko: tkaniny, pierścionki z brylantami, lornetki, maszyny do pisania i inne przedmioty, ale głównie jednak zegarki z prawdziwego złota, srebrne i zwyczajne. Do dziś niejeden szacowny mieszkaniec miasta posiada pełną skrzynię zegarków wszelkiego rodzaju.

Jak już wspomniano, Rosjanie wymieniali swoje łupy na jedzenie; ponieważ panował wielki głód. Skutkiem tego było to, że w mieście pozostało tak niewiele żywności, że nie było co włożyć do garnka. Jak zwykle, niektórzy ludzie wykorzystywali tę okazję. W szczególności byli to ludzie ze wsi. Wypiekali oni swoją ostatnią mąkę na chleb i sprzedawali go głodującym Rosjanom za horrendalnie wygórowane ceny. Trwało to do momentu, aż magistrat położył temu kres, nakazując policji i stróżom nocnym z gumowymi pałkami przeszukiwać ulice.

Tymczasem Rosjanom wyczerpały się łupy i stanęli w obliczu tragedii, bowiem głód dokuczał im coraz bardziej. Do tego doszła mokra i zimna jesienna aura, która mocno doskwierała obozującym pod gołym niebem Rosjanom. Na rozległym terenie wokół obozujących drzewa były wycięte i spalone. Wtedy właśnie obóz opuścili jego niemieccy mieszkańcy. Potajemnie załatwili sobie ubrania cywilne i uciekli do Niemiec.

W rosyjskich oddziałach służyły osoby pełniące osobliwą funkcję, której próżno by było szukać w innych armiach. Byli to komisarze, bez wyjątku młodszy ludzie, wyznania żydowskiego. Pełnili oni rolę nadrzędną nad właściwymi dowódcami i wszystkimi oficerami. Gdy na ten przykład, któryś z kapitanów chciał ukarać jednego ze swoich żołnierzy, musiał on najpierw poprosić o pozwolenie wspomnianego komisarza. Komisarze ci mieli duży wpływ na cały oddział, a wkrótce zaczęli także stanowić pewne zagrożenie również dla naszego miasta. Na skutek głodu i zimna wśród internowanych zaczęło wrzeć, a głównymi podżegaczami byli właśnie komisarze. W tych okolicznościach łatwo mogło dojść do buntów, a w końcu do splądrowania miasta.

Miejscowa komendantura zareagowała na czas. Pod niewinnym pretekstem komisarze zostali wezwani pod kasyno na rozmowy. Stamtąd udali się pociągiem na „przejażdżkę” do Giżycka i nigdy już nie powrócili. Następnego dnia udałem się na przechadzkę po obozie Rosjan. Niektórzy mówiący po niemiecku lekarze pytali mnie: „Gdzie podziali się nasi komisarze?”. Odpowiadałem: „Pojechali do Giżycka po żołąd dla wojska!”

Ponieważ pogoda jeszcze bardziej się pogorszyła, Rosjanie musieli zostać umieszczeni w innym obozie dla internowanych. Zostali odtransportowani w głąb kraju, do Minden, przez Bałtyjsk (Pillau), po 4000 mężczyzn dziennie. Ostatni transport miał miejsce 27 stycznia 1921 r.

Była to 53. dywizja rosyjska. Ich dowódcą był generał Szczerbakow (Schtscherbakow). Podczas wymarszu nadeszło od niego następujące pismo, skierowane do komendantury wojskowej:

Szanowny Panie Majorze von Schleinitz!

Ofiarowuję Panu, na pamiątkę naszej wspólnej pracy w obozie dla internowanych Rosjan, mający dla mnie dużą wartość sztylet.

Pozwoli Pan, że opuszczając obóz, którego jest Pan komendantem, z całego serca podziękuję za przyjazną postawę oraz uwagę, którą poświęcił Pan i pańscy oficerowie nam, rosyjskim oficerom. Oddając honor prawdzie, wstępując na niemiecką ziemię, my rosyjscy oficerowie nie spodziewaliśmy się względem nas, takiej uwagi i takiej postawy niemieckiego korpusu oficerskiego, które nas tu spotkały.

Mam nadzieję, że w kolejnym miejscu naszego pobytu na ziemi niemieckiej, spotkamy się ze strony niemieckich oficerów z taką samą uwagą i taką samą postawą, których doświadczyliśmy tu w obozie.

Z pozdrowieniem i podziękowaniem,
dowódca 53. dywizji, Schtscherbakow

Internowanie Rosjan było dla wschodniopruskich rolników dużą korzyścią. Do momentu regulacji całej sprawy przez państwo, wszystkie rosyjskie konie miały zostać rozdzielone wśród poszczególnych powiatów prowincji. Zazwyczaj działo się to w sposób następujący. Właściciel przynosił do komendantury zaświadczenie od starosty swojego powiatu, że ma on zapotrzebowanie na konie. Następnie otrzymywał on tu pozwolenie na złapanie sobie jednego lub dwóch koni ze strzelnicy; ponieważ rosyjskie konie hasały sobie swobodnie po całym terenie. Poczynały one mieszkańcom wiele szkód w pobliżu miasta, ponieważ nie tylko obgryzały uprawy, lecz także niszczyły swoimi kopytami pola uprawne w poszukiwaniu ziemniaków.

Schwytanie takiego kozackiego konia było sprawą niebezpieczną. Każdy, kto dostał pozwolenie na złapanie konia, patrzył najpierw na wiek, na jego zęby. Wtedy to bardzo często zdarzało się, że zwierzę zachowywało się nad wyraz niebezpiecznie i dziko. Mój szwagier, leśniczy Hilger, także przybył do Orzysza i otrzymał pozwolenie, na zabranie dwóch koni. Prosił mnie abym mu przy tym pomógł. Na samym końcu strzelnicy znaleźliśmy w zagajniku zdatną szkapę. Ledwo zdążyliśmy się do niej zbliżyć, kie-

dy ze wściekłym rżeniem wierzgnęła wszystkimi czterema nogami.

Pojawiło się wielu złodziei koni. Nocami słyszało się na szosach tupot końskich kopyt. Mimo najostrzejszego dozoru przemyt koni kwitł. Tylko miejscowemu kowalowi, zwanemu „Färnant'em”, nie udało się zdobyć konia. Raz złapał on sobie jednego kozackiego konia na strzelnicy, bez pozwolenia, w spokoju ducha, w biały dzień. Dosiadł zjeżonego zwierza i pojechał nim spokojnie do domu. Na moście zatrzymał go wartownik: - Ma pan rosyjskiego konia. - Tak. - Jak się Pan nazywa? - Nazywam się Czwalinna, gospodarz z Mikosz (Mykossen). Jadę do kowala D., oddać go do podkucia. Wartownik jednak przejrzał podstęp, bo stwierdził, że właściciel Czwalinna i kowal D. to ta sama osoba. Z pochmurnym spojrzeniem „Färnant” musiał oddać konia.

Pod koniec sierpnia do gospodarstw zostało przekazanych 800 koni. Poza nimi pozostało jeszcze 2000. Znamiennym jest, iż Kozacy nie chcieli wydać swoich koni komendanturze. Prawdopodobnie w głębi duszy myśleli oni o możliwej ucieczce. Na cele wyżywienia Rosjanie zabili około 500 koni, a komendantura kolejne 39.

Waltraut Wels, Glückskind im Chaos, 2004 r.

Szcześciara pośród chaosu

Moje miasteczko rodzinne Orzysz (Arys) było miastem wojskowym i niejednym prostym żołnierzem, który ciągnął na wojnę ku wschodowi, poznał tu twarde koszarowe łóżko oraz piasek i kurz na poligonie. Jednakże to wschodniopruskie miasteczko położone było sielankowo pomiędzy dwoma jeziorami, przecięte kanałem, który łączył ze sobą oba te jeziora. Całe Prusy Wschodnie emanowały pięknem krajobrazów, ale przecież niektórym właśnie rodzinne miasteczko zawsze wydaje się najpiękniejsze na świecie. W każdym razie ja kochałam mój Orzysz z pełnym ubóstwieniem, mimo że dziś leży on tak daleko ode mnie. Możliwe, że kiedyś w moim życiu znów dane mi będzie go zobaczyć i moje marzenie się spełni.

Były lata 1938 - 1939. Hitler był u władzy. Pozory sprawiły, że

wszystko stało się bardzo sensowne. My młodzież zachwyciliśmy się nim i jego polityką. Tego, że wszyscy szliśmy na pewną zgubę, nikt wówczas nawet nie podejrzewał. (...)

Wojna, co oznaczała wojna? Mi i mojemu dziecięcemu rozumowi niewiele mówiło to słowo, ale przepełniał mnie strach, ogromny strach, ogarniający wszystkie moje członki, kiedy wtulałam się mocno w bok taty, gdy śledził radiowe wiadomości. Czy mógł mnie ochronić przed wszystkimi nieszczęściami tej wojny, o której tak wiele mówiono? (...) Nasze rodzinne miasteczko zostało oszczędzone przez ataki bombowe.



Waltraut Wels - autorka wspomnień
rys. Karolina Zychowicz

jednostki wojska. (...)

Już wkrótce Szczytno (Ortelsburg) przez pięć lat miało być moją nową ojczyzną. Internat i szkoła kształcenia nauczycieli w Jabłonkach (Wildenau/Jablonken/Gut Jablonken) miała zastąpić mi dom rodzinny. (...)

To, że oddziały rosyjskie deptały Niemcom po piętach na każdym

krotnie mieliśmy alarm lotniczy i siedzieliśmy lękliwie w zimnej piwnicy przeciwlotniczej; jednak po 1-2 godzinach syreny wyły, aby poinformować o odwołaniu alarmu i z największą ulgą wracało się do miękkiego, przytulnego łóżka.

Tysiące naszych żołnierzy ciągnęło przez miasteczko na front wschodni. Wkrótce koszary były już niewystarczające. Nasi mieszkańcy oferowali swoje mieszkania na prywatne kwatery. Nasza szkoła także była zajęta przez najróżniejsze

odcinku frontu, nie było już żadną tajemnicą, mimo że niemieckie rozgłośnie wytrwale mówiły o wojnie totalnej i o opatrności boskiej, która powinna nam podarować zwycięstwo. Nasza wschodniopruska granica była zagrożona w pierwszej kolejności. Tu i tam pojawiało się słowo „ucieczka”, a ciarki raz po raz wpełzały nam na plecy. (...)

Dopiero, gdy jesień stała się zauważalna, otrzymałam od doktora Winninga, dyrektora mojej szkoły, wiadomość, że naszej szkole w Jabłonce wciąż nie zezwolono na prowadzenie zajęć szkolnych oraz zdecydowano o rozdzieleniu naszych klas i przydzieleniu ich do innych szkół tego samego typu. (...) Miałam zgłosić się do zakładu kształcenia nauczycieli w Tarnowskich Górach (Tarnowitz) obok Katowic (Kattowitz). (...)

Nasza szkoła w Orzyszu została w międzyczasie zmieniona w lazaret i ranni mogli nam przekazać wiele informacji o stanie rzeczy. Jednakże rozkaz to rozkaz, musiałam spakować swoją walizeczkę i wyruszyć w kierunku Górnego Śląska. (...)

W wigilię przyłączyłam się do orzyskiego zastępu dziewcząt, aby śpiewać kolędy w lazaretach. Podczas następujących, jedna po drugiej, pieśni, każdy ranny otrzymywał ozdobioną jodłową gałązkę z płonącą świecą oraz papierowy talerzyk ze świątecznymi ciastkami, które kładłyśmy na jego szafce. To było wzruszające, żadne oko nie pozostało suche! Gdy wracałyśmy przez spokojne, zaśnieżone miasteczko, nadal przyśpiewywałyśmy sobie cicho: „Nadszedł dla nas czas, który nam niesie radość wielką!” („Es ist für uns eine Zeit angekommen, sie bringt uns eine große Freud!”) W tym momencie odczuwałyśmy dużą satysfakcję z dania chorym ludziom nieco radości. Czas, który miał nadejść, nie miał zupełnie nic wspólnego z radością!

Po dwudziestu ośmiu latach przypomniałam sobie o kierownicze mojego zastępu, Lenie Klebbie (Lena Klebba), tego dnia, po dwudziestu ośmiu latach, odnalazłyśmy się listownie. Ona także mówiła o tym dniu, tym pamiętnym dniu, którego nie dało się zapomnieć. (...)

15 stycznia 1945 r. musiałam powrócić do Tarnowskich Gór, w których nie zmieniło się do tej pory nic, poza tym, że mieliśmy teraz więcej alarmów lotniczych niż przedtem. (...)

Po kilku dniach, gdy wszyscy byliśmy zebrani w sali jadalnej na czas posiłku, dyrektorka naszej szkoły podniosła się ze swojego miejsca i ob-

wieściła nam, że ministerstwo szkolnictwa zdecydowało się ewakuować nas, z powodu zwiększającej się ilości ataków bombowych. Zostało nam zaproponowane, aby zgłosić się do Ministerstwa Kultury i Oświaty we Wrocławiu (Breslau). Tam można było rzekomo dopełnić wszelkich formalności. Nasza dyrektorka przywołała nas do porządku i jeszcze raz zaakcentowała, że nie ma powodu do niepokoju, a nasze granice są bezpieczne. Tylko uśmiechnęliśmy się, nie wierząc w żadne słowo tej informacji. Szybko pośpieszyliśmy do naszych pokoi, żeby spakować nasze rzeczy, a nie było tego mało.

Ciężko było mi poradzić sobie ze spakowaniem wszystkiego do walizki, worka i toreb. Mało tego, wszystkie zapasy produktów spożywczych zostały rozdzielone pomiędzy uczniów. Nie mogły być one zjedzone, lecz trzeba było je w całości dostarczyć do miejsca przeznaczenia. Denerwowaliśmy się, jak mieliśmy sobie z tym poradzić? Ja miałam szczęście, musiałam spakować w bagażu tylko kawałek słoniny, o wadze około 1 kg. Zezwolono nam przespać jeszcze jedną noc w naszych łóżkach. Rankiem rozpoczął się wielki wymarsz na dworzec. (...)

Ostatni z naszych przybyli do pociągu złani potem. Również nauczyciele byli w komplecie, gdy nagle krzykliwy ton syren obwieścił alarm przeciwlotniczy. Każdy z nas szukał jakiegoś miejsca, pakował w pośpiechu bagaż i miał nadzieję na szybki odjazd pociągu, aby uciec z terenu zagrożonego. Nagły wybuch sprawił, że instynktownie rzuciliśmy się na podłogę. Na Tarnowskie Góry spadły bomby. (...) Całe zamieszanie nie trwało długo, ale za to długo musieliśmy poczekać zanim pociąg ruszył. (...) Kilka stacji dalej pociąg ponownie się zatrzymał.

- A teraz, co znów się dzieje? - pytał każdy. - Proszę wszystkich o wyjście, wagon zostaje przejęty na potrzeby transportu Wehrmachtu, proszę o zabranie bagaży! (...)

Dyrektorka naszej szkoły była bezradna. Mieliśmy przecież dojechać do Wrocławia, a Wrocław był jeszcze daleko stąd. (...) Zasypaliśmy dyrektorkę prośbami, aby pozostawiła nam swobodę działania. Chcieliśmy spróbować zrobić coś na własną rękę. (...)

- A więc dobrze - powiedziała dyrektorka. - Niech każdy ratuje się jak może, od teraz każdy jest odpowiedzialny za siebie! Kierujcie się w kierunku Wrocławia - ciągnęła dalej - jeżeli wszystko pójdzie dobrze,

spotkamy się wszyscy przed Ministerstwem Kultury i Oświaty!

Teraz nastąpił bieg i szturm na każdy zatrzymujący się pociąg. Nikt nie pytał o kierunek. Najważniejsze było to, że wchodziliśmy do pociągu, ponieważ wszystkie, tak czy owak, kursowały na zachód, to było logiczne! (...) Dla mnie było oczywiste. Jedyne rozwiązanie, powinnam jechać do domu, do domu, do rodziców, którzy z pewnością się o mnie martwią!

Moja decyzja była ostateczna, chciałam natychmiast spojrzeć na rozkład jazdy lub zapytać o informacje, czy istniałaby jeszcze możliwość pojechać do Prus Wschodnich. (...) Dopiero następnego ranka miał jechać pociąg pośpieszny w kierunku Toruń – Królewiec (Thorn - Königsberg).

W Królewcu, stolicy mojej wschodniopruskiej ojczyzny, w wysokich hałach jego pięknego dworca kolejowego byłam dopiero drugi raz. Pierwszy raz dotarłam tu, gdy mój brat Heinz chciał, będąc żołnierzem, pokazać mi piękne miasto nad Pregolą (Pregel) z jego wieloma mostami i romantycznym zamkiem. (...)

Zgodny z planem pociąg zabrał mnie następnego ranka do Mrągowa (Sensburg). Tu musiałam się przesiąść, aby dotrzeć do Orzysza. (...)

Mrągowski dworzec kolejowy był oddalony dobre 2-3 kilometry od centrum miasta. Ulice nie były uprzątnięte ze śniegu, nie były też posypane piaskiem. Chodniki były śliskie i wyboiste. Moim celem było odszukanie drogi wyjazdowej z miasta z drogowskazem „Do Orzysza”. Chciałam się tam ustawić i obserwować ruch. Zamierzałam zatrzymać jakiś pojazd, w razie gdyby jechał w tym kierunku. (...)

W końcu, wieczorem, zbliżyła się ciężarówka Wehrmachtu i zasygnalizowała migaczem skręt w dobrym dla mnie kierunku. (...)

- Niemiecka artyleria zajęła stanowisko przed Orzyszem, doszło tam do zaciętych walk zbrojnych - wyjaśnił mi pasażer. (...) Stopniowo zrozumiałam, że naprawdę bezsensownym było, kurczowo trzymać się planu powrotu do mojego ukochanego Orzysza. (...)

Nagle pewna kobieta złapała mnie mocno za ramię, uniosła moją zwieszoną głowę i otarła mi łzy swoją chusteczką. Myślałam, że śnię, kiedy rozpoznałam w tej kobiecie swoją dawną nauczycielkę sportu i zajęć praktycznych, panią Wels! Uwierzyłam w to, co widzę dopiero, gdy zagadnął mnie ciepły głos: - Waltraut, czy to możliwe, ty, tutaj w Mrągowie? Sądziłam, że jesteś bezpieczna na niemieckim zachodzie. Co cię tu na Miłość

Boską przyznało? (...) - Nie masz w ogóle żadnego bagażu?" - pytała dalej.

Kiedy wyjaśniłam, że mój bagaż jest na dworcu, poszła ze mną bez ociągania. Odebrałyśmy go razem i wlekłyśmy moją walizkę i worek z wielkim stękanieniem do budynku mrągowskiego starostwa. Było do niego około 4 km. (...) Możliwość znów, po pięciu dniach, spać na ciepłym łóżku, było prawdziwym darem od Boga. (...) Mój sen nie był tak mocny i długi, jakbym go sobie życzyła. Już po niecałej godzinie musiałam się obudzić. W tej samej chwili przez drzwi weszła młoda kobieta i przyniosła ze sobą z zewnątrz nowinę, którą zakomunikowała podekscytowanym głosem wszystkim obecnym: - Właśnie dostałam pozwolenie na przeprowadzenie rozmowy telefonicznej z Orzyszem, dotyczącej kierownictwa Wehrmachtu i otrzymałam informację, że ostatni pociąg ratowniczy został podstawiony w Orzyszu i powinien jechać na zachód przez Mrągowo lub Giżycko! (...)

Kompletnie wyczerpana dotarłam do budynku dworca kolejowego, gdzie w końcu doczekałam się przyjazdu tego pociągu. (...) Kiedy zatrzymał się na stacji, wołałam do ludzi pytając: - Jesteście z Orzysza? Sporadycznie dawało się słyszeć odpowiedź, „tak”. (...)

I nagle, to nie był sen, usłyszałam głos swojej matki odkrzykującej mi wyraźne „Tak”. - Mamo, mam, to ja Waltraut, widzisz mnie, poznajesz mnie? Przepchnęłam się w pobliże wagonu i w końcu, w świetle latarni, mogłam rozpoznać swoją matkę. Obok niej stał też mój ojciec i rozglądał się ze zdziwieniem. Oboje zeskoczyli z wagonu i ze łzami w oczach wzięli mnie w objęcia. (...)

- Dzięki Bogu moje dziecko, w końcu znów jesteśmy razem, od teraz niech się dzieje co chce, nie damy się ponownie rozdzielić. Teraz nie musimy martwić się o nic więcej, a to wszystko twoja zasługa. Twój trud nie poszedł na marne, odnalazłaś nas, ależ jestem szczęśliwa! (...)

Wkrótce dotarliśmy do przedmieść Giżycka (Lötzen) i natrafiliśmy tu na pierwszy drogowskaz „Do Orzysza”. W pełni pogrążyliśmy się w radośnym upojeniu i tańczyliśmy wokół naszej dwukółki. Głośno dziękowaliśmy naszemu kochanemu Bogu za jego dobroć i uchronienie nas do tej pory od krzywd.

Cisza na drogach była bardzo złudna, była to „cisza przed burzą”.

Pan Jeleń

Miało Orzysz przysparzało mi w pierwszych latach niebędących bez znaczenia problemów finansowych. Kilka tygodni po tym jak przejąłem powiat piski, moja szwagierka, poślubiona w Holenderskich Indiach Wschodnich, przysłała mi wycinek z tamtejszego czasopisma, w którym w jednym z artykułów Orzysz określony został najbardziej „splajtowanym”, zbankrutowanym miastem Niemiec.

Miasto zaczęło rozwijać się gwałtownie dopiero w związku z budową poligonu, niezbędnego z uwagi na potrzeby licznej załogi wojskowej Prus Wschodnich w okresie sprzed pierwszej Wojny Światowej. Właśnie podczas tygodni spędzanych przez żołnierzy na poligonie, podczas których następowało rozluźnienie dyscypliny, żołnierze wydawali dużo pieniędzy. Dlatego też w tym małym miasteczku (około 3500 mieszkańców) istniało ponad dwadzieścia restauracji oraz liczne sklepy mięsne, piekarnie i cukiernie. Gdy po 1918 roku najpierw całkowicie poligon zlikwidowano, a następnie kontynuowano na dużo mniejszą skalę, miasto nie mogło ani żyć, ani umrzeć. Do tego doszły lata kryzysu około 1930 roku. Trzeba było przetrzymać ciężkie lata aż do odbudowy armii.

Jednak później, po 1934 roku wszystko potoczyło się bardzo szybko, zwłaszcza że poligon został znacznie powiększony i pobudowano drugi, bardzo nowoczesny urządzony obóz Orzysz-Południe. Pięknie umiejscowione nad Jeziorem Orzyskim miasto nie oferowało pod względem urbanistycznym niczego szczególnego.

Dla mnie, który osobiście zawsze lubilem sprawy wojskowe, było szczególną radością mieć w swoim powiecie poligon. Wykształcił się u mnie nawyk, zawsze gdy jechałem przez Orzysz, zatrzymywać się u tamtejszego komendanta. W trakcie jednej z takich wizyt wydarzyła się komiczna sytuacja. W lasach wokół poligonu zwierzyna płowa występowała tylko okresowo. Komendant, zapalony myśliwy, chciał ten stan poprawić, poprzez zlecenie ogrodzenia części lasu wraz ze znajdującymi się w niej łąkami i sprowadzenie do nich pociągiem jelenia szlachetnego z dobrego,

wschodniopruskiego rejonu łowieckiego.

W dniu, w którym zwierzę miano dowieźć, rozkazał on swojemu ordynansowi zameldować mu, jak tylko jelen przyjedzie. Ordynans, który wcześniej nie wiedział nic o sprowadzaniu jelenia, zrozumiał, że oczekuje się jakiegoś pana Jelenia. Kiedy w tym momencie zapytałem o komendanta, ordynans od razu wpadł do jego gabinetu bez - co zwróciło moją uwagę - pytania mnie o moje nazwisko. W pokoju komendanta zameldował: „Pan Jeleń przybył.”

Komendant zagłębiony w lekturze jakiegoś dokumentu, usłyszał tylko słowo „jeleń” i rozkazał: „Od razu zamknąć w ogrodzeniu!”. Kiedy ordynans stał jak wryty z otwartymi ustami, okazało się, że przeznaczonym do zamknięcia w ogrodzeniu "panem Jeleniem" był w rzeczywistości starosta powiatu.

Prosimy o wsparcie publikacji kolejnych Orzyskich Zeszytów Historycznych poprzez wpłatę 1% z podatków odprowadzanych w pierwszym kwartale każdego roku, poprzez wpisanie w PIT numeru KRS 0000199344

